

Żeromski bez Rzeczypospolitej

17 stycznia 2009

Tak więc szkoła – o ile jej reformatory osiągną, co zamierzają – obejdzie się bez Żeromskiego.

Może słusznie. Jeśli bowiem edukacja ma być mniej więcej taka, jak społeczeństwo, które za nią płaci i zarazem od niej wymaga, to faktycznie powinna podziękować Żeromskiemu. Rady płynące z jego inspiracji przydałyby się szkolnym absolwentom jak dziura w moście. Przypuśćmy, że któremuś z nich uda się zdobyć pracę w prywatnym sanatorium. W takim wypadku, należy korzystać z łutu szczęścia na początku kariery zawodowej. A mieć pretensje w stylu Judyma – i jeszcze się awanturować – z tego powodu, że firma, której się zawdzięcza dobry start i stały dochód na przyszłość, jakoś tam szkodzi swoim klientom i okolicznym mieszkańcom? Byłoby to zachowaniem odlotowym.

Inny przykład. Znając stosunkowo ważnego człowieka w rządzie, eksploatuje się ów cenny kontakt. Nie miałoby więc sensu, pozyskując na swój użytek współczesną kopię Szymona Gajowca, podkreślać różnice w poglądach, które mogłyby go zniechęcić. Żeromskiego o tyle łatwo nie słuchać, że z góry wiadomo, iż według zdrowego rozsądku postępuje się dokładnie na odwrót niż on zalecał.

Historia Polski zatoczyła koło, wracając do punktu poprzedzającego zaistnienie w niej ludzi bezdomnych oraz ich poety. Oczywiście, nie mam tu na myśli permanentnych mieszkańców dworca, którym czasami, w imię wrażliwości społecznej, można poświęcić tekst albo przyjąć im z odpowiednio rozreklamowaną pomocą. Bezdomny w sensie Żeromskiego wyrzekał się domu oferowanego mu przez kraj, w którym się dusił. Klęska roku 1863 ostatecznie rozproszyła marzenie o świetnej Rzeczypospolitej sprzed rozbiorów, którą odzyskać pozwoliłby cud wsparty poświęceniem i odwagą. Za to przemysł i handel jako tako się rozwijały. W stworzonych przez

nie ramach trzeba było się lepiej lub gorzej urządzić. Mało kto bowiem chciał wypaść z obiegu, czyli trafić w szeregi – jak to się wówczas określało – wysadzonych z siodła.

Generalna sytuacja – jak widać – identyczna z obecną. Żeromskiemu dziękuje się za usługi wychowawcze, aby nie przeszkadzał sobie z nią radzić. Ale i na wcześniejszych etapach historycznych niekoniecznie najlepiej pasował on do realiów. Na tle obecnych zakusów na jego twórczość w lekturach obowiązkowych, przypominam sobie z łezką w oku szkolny życiorys prawie ostatniego pokolenia, które go miało, ile dusza zapragnie. Gorzej nawet, bo aż w nadmiarze. Pod koniec liceum, trafiłem na kolegę chętnego do staczania zasadniczych sporów tyleż politycznych, co estetycznych. Na wagarach z okazji pierwszego dnia wiosny, kłóciliśmy się, na co pójść do kina. Z Piotrem Szulkinem i jego wyrafinowanym „Golemem” rywalizował amerykański film katastroficzny. Większość klasy, naturalnie, od razu wybrała propozycję fajną i zabawną. My natomiast, idąc z nielicznymi dysydentami o ambitniejszych czy też snobistycznych gustach na Szulkina, odkryliśmy, niewiele jeszcze o nim wiedząc z lektur, konflikt awangardy ze sztuką dla mas. – Przecież jesteśmy po stronie klasy robotniczej, nie? – tłumaczył gorączkowo mój kompan. – To powinniśmy oglądać „Trzęsienie ziemi”, „Płonący wieżowiec”, „Szczęki”, „Lawinę”, które robotnicy lubią.

O mały włos nie doszło do zerwania przyjaźni, ponieważ on, zgodnie ze swymi apelami, poszedł do ówczesnego superkina z aparaturą Dolby Stereo, gdy ja wylądowałem w salce, w której wyświetlano „Golema”. Pogodził nas Żeromski. Rozprawiając się z nim podobnie pryncypialnym trybem, uchwaliliśmy wykreślenie go z planu lektur. Byliśmy przekonani, że lekcje polskiego musi wypełniać „śmietanka śmietanki” literatury światowej. Z krajowego dorobku akceptowaliśmy tylko to, co wydawało nam się stać z nią na równi. Żeromski nie doczekał się uznania, którym łaskawie obdarowaliśmy (wtedy jeszcze nieobecnych w szkole) Schulza i Gombrowicza, jak również „Płomienie” Brzozowskiego.

Prócz kwestii ściśle artystycznych, do skreślenia go przez nas przyczynił się ogólniejszy klimat. PRL, im dłużej istniała i bardziej się chwiała, stawała się coraz natrętniej patriotyczna. Urzędowe akademie, nudząc śmiertelnie, prowokowały zarazem do agresji intelektualnej. Potępieńczych jęków na zadręczanie nas przez najbliższego sąsiada z Zachodu nie uzupełniało ani słowo o Rosjanach. Zaglądając do pokątnie wypożyczanych tomików o 17 września i Katyniu, ze znacznie większym przekonaniem chłonęliśmy jednak bluźnierstwa Gombrowicza o Polsce: „A że chuda była szkapa, niechaj zdycha!”. A gdyby ją rozdziobały kruki i wrony, też nie stałoby się nic strasznego. Czy ten Żeromski tak się martwił?

Twórca „Popiołów” nie przyciągał nas również społecznym wymiarem swojego pisarstwa. Problemy, które tam podejmował, uważało się w naszym klasowym kręgu za trwale załatwione. Coś tam wprawdzie krążyło w pamięci, że już w pierwszych klasach podstawówki jedni mieli więcej poszukiwanych samochodzików typu „matchbox” niż inni. Na korcie tenisowym, obok rakiet z markami w zachodnich językach, widywało się radzieckiej produkcji nieforemne narzędzia do odbijania piłki, którymi w bilansie gemów i piłek setowych niewiele zwojowałiby nawet Bjoern Borg i John McEnroe. Lecz, generalnie rzecz biorąc, autorytet w grupie prawie nie zależał od majątkowej pozycji rodziców. Nie rozumieliśmy więc, dlaczego nauczyciele nawołują nas do naśladowania Siłaczki. Tym bardziej, że oni sami, na wówczas dostępną miarę, zajmowali się robieniem pieniędzy.

Nic w tych ocenach nie zmieniły studia, w których trakcie niejedna sesja egzaminacyjna wymagała gorączkowego kartkowania dzieł Żeromskiego. Poza murami uczelni, towarzyszył generał, rozkazując dowieść, że Polski jesteśmy warci, pochylał się z troską nad spracowanymi polskimi matkami. Wyglądało to na ponurą karykaturę „syntezy ideałów walki o wyzwolenia narodowe i społeczne”, której Żeromski miał dokonać według podręczników z czasów towarzyszy „Tomasza” i „Wiesława”. Im bardziej więc uwielbiałem Rilkego i Gombrowicza, pod których skrzydła dawało

się uciec z duszącej atmosfery, z tym większą niechęcią spoglądałem na wypożyczane pod przymusem „Różę” i „Wiatr od morza”.

Czas na przewartościowania nadszedł razem ze zmianą ustroju. W jej efekcie, co prawda, zrobiło się dokładnie wszystko jedno, co się czyta. Kolega z liceum, z którym psioczyliśmy na wieszczów narodowych, rzucił posadę specjalisty od gramatyki generatywnej na rzecz funduszu polsko-anglosaskiej przedsiębiorczości. Wkrótce przyznał, że w ogóle już nie pamięta „Doktora Faustusa”. A przecież, żeby doczytać, jak Adrian Leverkuehn zemścił się na diable za odebranie mu jedynej miłości jego życia, pięknego siostrzeńca, komponując „Lament...”, który z dna potępienia wydobywał nadzieję na zbawienie, uciekaliśmy kiedyś z lekcji WF, ryzykując dwójkę ze sprawowania.

Mnie powiodło się lepiej. Zarabiając na posadzie korepetytora, a nie korporacyjnego dyrektora, utrzymałem kontakt z literaturą. Po raz pierwszy w życiu zacząłem sympatyzować z Żeromskim, a nawet go bronić. Motywem tej przemiany była przekora. Moi podopieczni z „korków” przyznawali się, iż ze wszystkich tekstów do obowiązkowego przeczytania, najbardziej nie znoszą „Nagiego bruku”, którym Żeromski uczcił rewolucję roku 1905. Nic dziwnego. Oni na ulicy, jeśli nie przemierzali jej samochodem rodziców, nie walczyli z właścicielem i mianowanym przez niego funkcjonariuszem, tylko próbowali sił w przedsiębiorczości. Co ambitniejsi z nich zaglądali przed maturą do opracowań słynnego instytutu PAN-u, który od Stalina aż do dziś bada literaturę zgodnie z aktualnie przyjętą linią polityczną. Ze zdumieniem odnajdywałem w nich sądy, którymi z wiadomym przyjacielem bluźniliśmy przeciw szkolnemu programowi i wykonującym go polonistkom. Doszliśmy do wniosku, że w „Nad Niemnem”, które przerzucaliśmy przed lekcją, omijając opisy przyrody, od biedy strawną postacią jest tylko Teofil Różyc, który przegrał w kasynach około miliona rubli, na pociechę zażywając morfinę. Benedykt Korczyński, ratujący narodowy stan

posiadania, oraz jego syn, zakochany w chłopach, w naszych oczach nadawali się w sam raz do historycznej mowy I Sekretarza. Albo – jak kto woli – do kazania uświatniającego msze za ojczyznę. Za popisanie się tymi rewelacjami, faworyzująca nas zwykle nauczycielka wywaliła nas z klasy, zalecając stawienie się na dywanik. Niedługo po roku 1989, jeżeli nie zmieniła zawodu, musiała wyuczyć się mądrości, za które zostaliśmy przez nią ukarani. Różyc, a nawet jeszcze bardziej od niego radykalny Zygmunt Korczyński, który pragnął rzucić Polskę w diabli – pisali elastyczni naukowcy z PAN – są jakoby cennymi wzorcami walki o indywidualną samorealizację przeciw represyjnemu otoczeniu. Nasz dawny bunt zamienił się w panującą normę.

Czemu maturzyści, którzy zaraz po uzyskaniu dyplomu planowali otworzyć swój biznes, mieliby lubić Żeromskiego? Za to mnie ten dotychczas lekceważony twórca wreszcie zafascynował. Udało mu się – i to na dłużej niż na czasy swojego pokolenia – podważyć powszechnie uznany konsensus. Car Aleksander II, tłumiąc krwawo Powstanie Styczniowe, z początku kazał Polakom pocierpieć, ale w dłuższej perspektywie zafundował im długotrwałą i bezpieczną normalność. W Warszawie panował spokój. Cóż więc zostało, jeśli nie dbanie o swoje sprawy? Z tego punktu widzenia, doktora Pawła Obareckiego ze słynnej niegdyś „Siłaczki” można krytykować co najwyżej za to, że bogacił się na prowincji, nie podejmując walki o przyzwoitą stołeczną posadę.

Tymczasem czytelnicy Żeromskiego nie chcieli być Obareckimi. Dlatego trafili na karty jego cyklów, krążących wokół przełomowych lat 1905 lub 1918. „Popioły” jako biblię swojego pokolenia wspominał jeszcze Tadeusz Konwicki. Szczepionka Żeromskiego mogła popychać to w AK, to w stalinizm, ale utrudniała skupienie się na rodzinnej kasie.

Uwarunkowane przez nią biografie rzadko kiedy już się zdarzą. Wobec tego, drapieżność odzyskują pamflety Żeromskiego, wymierzone w małą stabilizację. Szkoła zalecała płytko

odczytywać jego „Syzyfowe prace” jako hymn na cześć polskiej młodzieży, która zwycięsko broniła się przed rusyfikacją. W rzeczywistości, Żeromski tą wczesną powieścią podjął wariacje na temat zasygnalizowany już przez Prusa w „Lalce”. – Świnia – woła tam przegrany rewolucjonista z Wiosny Ludów, Katz – zadowoli się nawet błotem. Ale człowiek z sercem?

W „Syzyfowych pracach”, standardowy patriotyzm ogranicza się do zakrapianych świąt, po których prędko wraca się do codziennych interesów. Teraz celebrowanie Polski nie odbywa się już – jak tam – w półkonspiracyjnej kryjówce domowego zacisza. W oznaczonych datach, przenosi się na główne place. Tracąc aurę owocu zakazanego, zapewne się prędko wyczerpie. Dopóki jednak trwa, pełni dokładnie tę samą funkcję, jak u Żeromskiego: odrywając przez moment od bieżącej krzątaniny, na stałe w niej utwierdza.

Od biesiadnego płaczu nad rozbiorami, bohaterowie Żeromskiego uciekali w świat książek, ukazujących im cywilizację angielską. Jeżeli na wyspie za Kanałem La Manche – wmawiali sobie pociechę – człowiek nie wstydzi się ani swojej historii w dużej skali, ani życia codziennego, to dlaczego my nie mielibyśmy mu kiedyś dorównać? I te sny się urwały. Należymy poniekąd do cywilizacji, której pochodzenie prezentował historyk Buckle, w którym rozczytywał się młody Żeromski. Ale wobec tego nie wyzwoli nas ona znikąd ani donikąd. Co najwyżej, zmartwi spadkiem notowań funta, którym dokuczył jej ostatni kryzys. A intelektualne nowości ze świata, nie inaczej niż lokalne obrzędy historyczne, są odklejone od zachowań realnych i przez to z nimi pogodzone.

Żeromski wychował się w małym dworku, z którego matka – przypomnijmy scenę obrabowania na jej cześć przydrożnej kapliczki z kwiatów, na które odważył się Marcin Borowicz – dowoziła go zaprzęgiem konnym do szkoły. W efekcie, nigdy nie przestał być zakochany w Polsce szlacheckiej, której rany podjął się rozdrapywać. Gdyby tylko – marzyło mu się – nie spychała ona w dół plebsu, wtedy może nastąpiłby cud jej

odrodzenia? Ironicznym zbiegiem okoliczności historycznych, wizję tę zdawał się spełniać polski socjalizm. Bojowcy PPS nie godzili się według recepty Obareckiego z rzeczywistością, a więc i z panowaniem rosyjskim, tylko z nim walczyli tak, jak gdyby odrodził się w nich duch powstań.

Rodzący się świat socjalistyczny nie przetrwał jednak historycznej próby. W „Przedwiośniu”, Żeromski dzieli jego spadkobierców między bieguny wyznaczane przez Gajowca, idealistę liczącego się z faktami, oraz doktrynera Lulka. Kim byłby ten pierwszy w czasach nam bliższych? Przypuszczalnie, w początkach wprowadzania w życie planu Balcerowicza nawoływałby z telewizora: Nie stój! Nie czekaj! Co robić? Pomóż! A Lulek tak antypatycznie i zarazem głupkowato demaskowałby na dniach kryzys kapitalizmu i wzywał do solidarności z rewoltą w Grecji, że najbardziej płomiennego marksistę nawróciłby na credo neoliberalnego proroka, Milтона Friedmana. Chyba zresztą lewica, którą Żeromski przywitał na polskiej ziemi, ostatecznie się z niej ulotniła. Stało się to dzięki jej epigonom, którzy – w głosowaniu nad ustawą o emeryturach pomostowych – poparła platformę biznesu przeciwko pracownikom najemnym.

Brzozowski zarzucał Żeromskiemu, że jego emocjonalne przywiązanie do polskiej historii nie pozwala mu stanąć oko w oko z nadchodzącą nowoczesnością. No cóż, przyszłość, którą wzywała „Legenda Młodej Polski”, nie kazała na siebie czekać. Tyle, że w tu i teraz, w którym się spełniła, nie ma miejsca dla Żeromskiego (tak samo zresztą, jak dla jego wnikliwego krytyka).

Autor: Jacek Zychowicz

Źródło: [Obywatel](#)